

ZDZISŁAW STRYCHARZ

ur. 1945; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, współczesność
Słowa kluczowe	projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów, żona, dzieci, rodzina, ślub, Leonarda Woźniak

Byłbym egoistą, gdybym nie powiedział niczego o mojej rodzinie

Byłbym egoistą, jakbym nie powiedział niczego o mojej rodzinie, bo też wypadaloby parę słów na ten temat powiedzieć. Moja żona, Tereska Dawidowicz z domu, bardzo się obrusza, kiedy mówię, że ona jest po części szlachcianką, bo wyczytałem w dokumentach heraldycznych, że jej dziadek Karol nabył herb - Trąby. Pochodzą z rejonu Bobiatyna, to jest niedaleko Sokala, w ramach drugiej II Rzeczypospolitej było to województwo lwowskie. Powiedziałem, że jak ona umrze pierwsza, to ja jej herb Trąby wygraweruję na pomniku. Ona się bardzo na mnie oburza. Ja mówię, że jak ja pierwszy umrę, no to już pewnie tego nie będzie, bo ona jest taka skromna, i takich rzeczy nie chce, żeby one były. Skończyła szkołę muzyczną, jeszcze na Krakowskim Przedmieściu 55 –tam była szkoła na rogu Wieniawskiej i Krakowskiego. Ale poszła na medycynę. Skończyła medycynę, została lekarzem, i tak jej to już przez całe życie trwało. Jest osobą pracowitą, pochyla się nad każdym człowiekiem. Bardzo lubi nawiązywać kontakt z ludźmi, którzy leżą na bruku, i rzadko się zdarza, żeby ktoś jej odmówił. Ma zawsze taki zwrot: „Jestem lekarzem. Jak się pan czuje? Chciałam panu zmierzyć ciśnienie, zmierzyć panu puls”. Więc największej rangi pijak od razu potulnieje, i ona nawiązuje z nim dobry kontakt. Tak jakoś potrafi, i tak pomaga ludziom na różne sposoby, i stara się, żeby jej życie było w tym wolontariacie odpowiednio dostrzeżone. Mamy dwie córki: starsza Kinga, młodsza Małgorzata. Starsza córka skończyła szkołę muzyczną, poszła na muzykologię, teraz jest adiunktem na KUL-u. Prowadzi Chór Duszpasterstwa Akademickiego w kościele akademickim, już dwadzieścia pięć lat chyba. Daje sobie dobrze radę. Ma takie ciekawe przełożenie z ludźmi, z którymi się kontaktuje. No i stara się, żeby to wszystko jej się zawodowo dobrze układało. Mąż, Tomek, jest na KUL-u organistą. Dobrze gra, dobrze śpiewa, ludzie chętnie przychodzą. Mówią, że odpoczywają, jak słuchają jego muzyki i śpiewu. Teraz jest taki ojciec Rafał Sztejka, to jest jakby proboszcz, to się superior nazywa, bo oni są z grupy jezuitów, więc tam jest takie

stanowisko równoważne proboszczowi czy coś koło tego. On był kiedyś w telewizji, w TVP, w ramach audycji religijnych, takim szefem. Inteligentny człowiek, dobrze tam się współpracuje. Córka z mężem mają trójkę dzieci. Najstarsza, Dorotka, ma dwadzieścia dwa lata, skończyła szkołę muzyczną z wyróżnieniem, ale nie chciała na fortepianie grać, bo powiedziała, że ona nie chce być artystką, bo to jest wymagające, stresujące, ona pójdzie na języki. Studiuje i na KUL-u, i na UMCS-ie - angielski, francuski, niemiecki i hiszpański, więc cztery języki. Daje sobie radę, zaraz skończy trzeci rok. Młodsza, Ola, gra na skrzypcach, chodzi też do szkoły muzycznej. W tym roku zdaje maturę, ale też na skrzypce nie chce iść. - „Idę na języki –mówi - ja nie chcę być artystką”. No, ale szkoła muzyczna daje takie duże rozpoznanie tego, co się dzieje, uwrażliwia. Dobre miejsce. No i najmłodszy, Hubert, ma czternaście lat. Też chodzi do szkoły muzycznej, i gra na wiolonczeli. Ale on chce grać - na razie. Ale czy dalej będzie grał –nie wiadomo. Młodsza córka chodziła do pierwszej części szkoły muzycznej, bo mając czternaście lat straciła słuch na jedno i na drugie ucho. Doskonale grając, naprawdę. Ona była taka bezstresowa, ona się nie myliła. Do dzisiaj nie poznano przyczyny utraty słuchu. Poszła najpierw do liceum pallotyńskiego, a potem do Jana III Sobieskiego, stąd też to moje zaangażowanie w tym stowarzyszeniu, co tą szkołę prowadziło. Tam była bardzo przychylna dla niej atmosfera. W roku 1994 profesor Henryk Skarżyński –to jest taki światowej sławy laryngolog –wszczepił jej implant do jednego ucha, a za kilka lat wszczepił implant do drugiego ucha. Zdała na studia, na stomatologię. Skończyła stomatologię, obroniła doktorat, jest adiunktem. Świetnie operuje językiem angielskim. Ma zajęcia ze studentami anglojęzycznymi. Mają jednego synka, Nikodema, który ma w tej chwili osiem lat i też chodzi do szkoły muzycznej, i gra na fortepianie. Zięć, Tomek, pracuje w firmie Comarch, ma tam jakieś stanowisko kierownicze, szczegółów nie chce podawać, taki rozgarnięty chłopak. No i tak to życie się toczy. Mamy taki fajny dom w Jedlance –to jest pięćdziesiąt kilometrów od Lublina. Tam jest miejsce dla każdego. Bardzo tam lubimy jeździć - i my jako dziadkowie, i dzieci. Wszyscy tam chętnie przyjeżdżają, tam jest bardzo fajnie. Mamy piękną ławeczkę, mamy borówki amerykańskie, mamy taką piękną kapliczkę Jezusa Frasobliwego na drzewie umieszczoną. Taka przyjemna atmosfera. Blisko jest jezioro Gumienko, gdzie można wypoczywać, bo to jest pięćset metrów od nas. Mamy prąd, mamy wodę, mamy kanalizację, bo ścieki są odbierane, więc czujemy się jak w domu. Jest lato, wakacje, więc nie muszę się stroić w koszule, w krawaty, bardzo sympatycznie się odpoczywa. I tam mamy na płocie laskę, i taką kankę na mleko aluminiową. To jest jakby taki spadek po naszej Leonce, która się naszymi córkami [opiekowała], i była w naszym domu przez trzydzieści trzy lata. I z nią też taki ciekawy przypadek można przywołać, bo ona jest rodem z Pólko-Dys, to jest w gminie Niemce, pod Lublinem. I ona, jak była młoda, to codziennie z kanką, piętnaście litrów mleka na plecach, zasuwiała tutaj na Karmelicką, na ten targ, i tam to mleko sprzedawała. No i potem na piechotę znowu do domu. Przez nią na przykład bardzo polubiłem czerwone buraczki, bo ona

powiedziała, że oni zawsze w domu dbali o to, żeby były kartofle i buraki, bo jak te dwa rodzaje warzyw są, to już z głodu nie umrą. No bo tam mięso, to bardzo rzadko, parę razy w roku, nie jak dzisiaj. Ona była ósmym dzieckiem w rodzinie. Była bardzo miła, sympatyczna i my ją wspominamy, jakby to był członek naszej rodziny. I laskę, którą się popierała, i tą kankę, którą tam miała do różnych swoich potrzeb, myśmy wzięli, i to jest taki symbol, że ona tu jest między nami cały czas. Leonarda Woźniak, zwana przez nas Leonką. Przychodziła do nas na wszystkie święta. Zawsze była naszym miłym gościem. Do domu się ją odwoziło. Może jeszcze z takich naszych życiowych, rodzinnych spraw, to w roku 2019 obchodziliśmy pięćdziesiąt lat małżeństwa. W roku 1969 mieliśmy ślub w katedrze. Ksiądz Andrzej Pikulski dawał nam ten ślub, udzielał nam ślubu. A Marcin Jankiewicz jeszcze wtedy nie był księdzem, tylko jako diakon pomagał. Marcin Jankiewicz był rok wyżej, w Zamoyskim, ode mnie. Poszedł na księdza, a ja poszedłem na studia na UMCS jako osoba świecka. No i teraz było pięćdziesięciolecie, bo się okazuje, że w roku też 1969 Marcin Jankiewicz przyjął święcenia kapłańskie, i na pięćdziesięciolecie, w tamtym roku, nas zaprosił, no i wzięliśmy ze sobą zdjęcia, pokazywaliśmy mu te zdjęcia, jak on nam w katedrze współuczestniczył przy udzielaniu ślubu, i też takie były miłe wspomnienia. Dostaliśmy różne gratulacje w postaci dyplomów od prezydenta RP, od prezydenta miasta Lublin, byliśmy w Trybunale Koronnym –takie było miłe spotkanie, ciekawe i pan prezydent –jako, że jestem pracownikiem urzędu, i znam się z Krzysztofem od dwudziestu czy trzydziestu lat, więc dłużej się przy nas zatrzymał, porozmawiał, to takie też miłe i sympatyczne. Dostaliśmy od Stowarzyszenia Rodzin Katolickich taki specjalny dyplom, album o Lublinie, no i dostaliśmy taką niespodziankę od ojca świętego Franciszka - błogosławieństwo na okoliczność tej właśnie uroczystości. No i tak ten czas minął. Spotkania odbyły się i w kościele, i w restauracjach, i byli różni goście. Teraz już pięćdziesiąty pierwszy rok, natomiast mojej pracy zawodowej, to jest rok pięćdziesiąty drugi. Ja do pracy poszedłem 16 października 1968 roku.

Data i miejsce nagrania	2020-02-17, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Redakcja	Małgorzata Maciejewska
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"